

STANISŁAW SZPOTAŃSKI

MOCHNACKI

PROFIL HISTORYCZNY

KRAKÓW — G. GEBETHNER I SP.

1910.

STANISŁAW SZCOTANSKI

HOCHNACKI

Legion młodości 1917

BRANOW - K. GEBETHNER & CO.

1918

STANISŁAW SZPOTAŃSKI

MOCHNACKI

PROFIL HISTORYCZNY

KRAKÓW — G. GEBETHNER I SP.

1910.

STANISŁAW WĄSINIATSKI

MOCHNACKI

PROF. HISTORYCZNY



br 10636

KRAKÓW — G. GEBETHNER I SP.

1910.

Każdy wielki człowiek przeszłości ma w te-
Kraźniejszości dwa oblicza: jedno legendar-
ne, stworzone przez fantazyę tłumu, drugie
historyczne, odtworzone przez naukę. I w je-
dnym i w drugim wiele cech, które w rze-
czywistości istniały się zaciera, a wiele zostaje
dodanych, bo gdy ktoś do grobu się kładzie,
dla naszego życia ginie na wieki, a z tego
co po sobie zostawia, kusić się tylko można
o oddanie podobieństwa, o jakie takie zbli-
żenie się do prawdy. To też historykowi, nie
chcącemu iść śladem tych paleontologów,
którzy kości niedźwiedzia jaskiniowego zle-
piają z kośćmi hyeny, wolno, zastanawiając
się nad indywidualnością dziejową, zrezy-
gnować z syntezy, z narysowania postaci,
a pod uwagę wziąć tylko ślad przez nią
wyżłobiony, opisać i ocenić z osobna jej po-
stęпки. Przed tak pojmującym zadanie swoje
historyografem ginie człowiek, jako materiał
badań pozostają tylko jego czyny. To jednak
nie zawsze wystarcza. Często nie wystarcza
samemu pisarzowi, nigdy nie wystarcza pu-
bliczności.

W wyobraźni powszechnej wiecznie żyją ci, którzy za życia wzniesli się wysoko ponad tłum, którzy bądź przez swój charakter, bądź przez swoje przygody, wysunęli się na czoło narodu i stali się potem symbolem jego chwały i podniosłości. Zginęła zbiorowa twórczość, nie powstają już epepeje o ulubionym bohaterze, jak *Pieśń o Nibelungach*, stworzone przez cały naród, ale właściwość ludzka — tworzenie mytów i podnoszenie na najwyższe stopnie postaci, które zapanowały nad fantazyą zbiorową, — jest wieczna.

Kiedy poeta narodowego bohatera bierze za przedmiot utworu, ogół szuka, czy w artystycznej interpretacji nie zaginęła bajka, czy skala wielkości odtworzonej postaci odpowiada skali jego uwielbienia. Od historyka tego samego nie żąda, chce jednak w jego dziele widzieć żywego człowieka, chce wiedzieć jak się bohater przedstawia temu, kto legendę odrzucił, dla kogo wskazówką była nauka i intuicja, wyrosła jak kwiat z przyziemnych pędów szczegółowych badań.

Upada monografia wielkiego męża czytelnikowi na kolana i, jeśli historyk nie narysował konturów, jeśli postać rozdrobnił, rozproszył, pyta się czytelnik, jaki był człowiek, o którego czynach, o którego sile społecznej i politycznej mówi to dzieło.

Chcę odpowiedzieć tym, którzy się mogą

tak pytać, przeczytawszy pracę moją o Mochnackim i wyjaśnić tym, którzy w ocenie poszczególnych czynów dopatrzeć się mogą jego oceny, że czyn jako wypadkowa dwóch sił zobopólnie na siebie działających, człowieka i okoliczności zewnętrznych, nie jest dostatecznym przewodnikiem do duszy ludzkiej¹.

¹ W tych rzeczach przyzwyczailiśmy się do generalizacji, aczkolwiek w korzeniach moralności tkwi prawda, że występny czyn, to jeszcze nie występny człowiek. Prawo karne zwłaszcza szerzy pod tym względem demoralizację, wyrzucając po za obręb uczciwego społeczeństwa człowieka, który wykroczenia się dopuścił. Dziś i w prawie karnem zachodzi ewolucja, ewolucja na korzyść pojęć humanitarnych. Oczywiście, że nikt, nawet najbardziej do uogólnień skłonny, nie wyczyta w książce mojej, aby Mochnacki był człowiekiem występnym, jednak dla najzupełniejszej jasności, dla uniknięcia jakichkolwiek nieporozumień nadmienić muszę, że, kiedy zachowanie się Mochnackiego w więzieniu karmelickim nazywam nikczemnem, nie znaczy, abym go za nikczemnika uważał, kiedy w nim aktorstwa się dopatrzę, nie znaczy, abym go komedyantem czynił, kiedy jego honor, z powodu broszury przeciwko Niemojowskiemu, zaczepiam, nie znaczy, abym go o brak honoru pomawiał. W książce wprowadzie o jego podmiotowej wartości nie mówiłem, ale nad nią zastanowić się można wówczas dopiero, kiedy pierwsza przedmiotowa część studyów ukończoną została, przeto sądzę że postępuję sumienniej w tej kolei charakterystykę Mochnackiego pisząc, niżbym ją pisał a priori. Naogół dzieje się w ten sposób, że z takiego jak moje studyum dla charakterystyki ktoś inny korzysta, tutaj dla niej korzystałem sam z materiału, który zebrałem i zanalizowałem.

A jeszcze dodam: kiedy książkę pisałem, mówiłem o Mochnackim jak o człowieku żywym, społecznym, działającym wśród wypadków, przesuających się przed oczami, dziś po zamknięciu dochodzeń, mówię o nim, jak o tym, na którego grobie kwiaty dawno powiędły, ale którego kiedyś dobrze znałem.

Mochnacki nie należy do tych, którzy czarują potomność, tak, jak oczarował ją męką Łukasieński, honorem i bohaterstwem Józef Poniatowski; w wyobraźni powszechnej nie mógł wyrość na bohatera: ziarna legendy nie było ani w nim, ani w jego epoce. Powstanie zakończyło się smutkiem i poniżeniem. Samo upadek swój przypisało brakowi woli i talentu, ani jeden nie wyłonił się w nim człowiek, ani na jednego vox populi nie wskazał, jako na tego, co wyrósł ponad innych, co miał w swojej piersi geniusz wodza i duszę bohatera.

Mickiewicz, gdy pisał Pana Tadeusza, widział na Litwie ludzi dzielnych, odważnych, ofiarnych, ale takich, którzyby ponad dzielnymi i ofiarnymi stali, ludzi przodujących — nie widział. Podobnie pierwszych zobaczy każdy w powstaniu listopadowym, drugich nie ujrzy nikt.

Sam zaś Mochnacki, maczając pędzel w ogniu, dla odmalowania swego portretu, nie wydobyl rysów, które fantazyę mas sze-

rokich by zajęły, ale uwydatnił głównie intelekt, intelekt zaś sam uczynić tego nie może. Przedstawił się więc jako ten, który góruje ponad społecznymi jasnowidztwem politycznem, zrozumieniem i ocenieniem każdej, choćby najtrudniejszej, sytuacji, wskazywaniem zawsze środków najwłaściwszych dla zapobieżenia złemu. A choć często faktyczny stan rzeczy mu zaprzecza, jednak autoportret mieści tę prawdę najistotniejszą, że jest wizją wewnętrzną siebie, że Mochnacki dał kształt, kolor i światło takie, jakie widziały jego oczy. Nie miniatura to była, w owym czasie fotografię zastępująca, której zaletą podobieństwo rysów, ale olbrzymia statua, przeznaczona po wiek wieków ku ozdobie rynków mistycznego miasta chwały narodowej.

W Mochnackim żyje marzenie o wielkości. Wyobraźnię jego pociąga sytuacja, siła, gest. Ztamtąd więc bierze argumenty, ztamtąd siłę dowodzenia i kiedy wzywa senatorów w r. 1828, aby uwolnili oskarżonych o zbrodnię stanu, kiedy zachęca do czynu Sejm i Rząd w r. 1831, to im mówi, aby nie tracili sposobności okazania się wspaniałymi i szlachetnymi, aby w postanowieniach swoich zawsze żądania Wielkości mieli na względzie. A że egotyzm jest jedną z cech jego indywidualności, więc nie poprzestawał na ma-

rzeniach o wielkości innych, ale marzył o swojej, widział się największym w każdej rzeczy, którą przedsiębrał. A przedsiębrał wiele, bo życie miało dlań głos wymowny, bo rzucał się na wszystko, co ono niosło, z pasją, bo koło niczego nie przeszedł obojętnie, a wszystko czego się dotknął, przybierało dlań rozmiary niezwykle.

Dziecinne były, z licealnych czasów, z kolegami konspiracye, ale wagę do nich przywiązywał tak wielką, że w wieku dojrzałym brał ztąd tytuł najstarszego w Polsce konspiratora, że jeszcze wówczas, po rewolucyi, na Emigracyi, biła weń fala uczuć dawno przeżywanych. Romantyzm zeszedł w Polsce. I oto Mochnacki pasuje się odrazu na rycerza nowego kierunku, potyka się o jego prawa z taką zajadłością, że cała prasa warszawska, podówczas ospała i nudna, jak pod działaniem iskry elektrycznej, drgać i żyć zaczyna. W tej chwili wszystkie jego marzenia o wielkości koło literatury się koncentrują i gdy książkę o Literaturze Polskiej w XIX w. pisze, zdaje mu się, że dokonywa przewrotu, że nową rozpoczyna epokę, że jest to rzecz najważniejsza jaka się czyni. Włożywszy w dzieło pisane wszystkie swoje uczucia i wszystkie swoje marzenia, ogłuchł na głos obywatelskiego obowiązku, zapomniał, że są rzeczy od literatury większe

i drżał, postanowił nawet, o ile możliwości, przeciwdziałać wybuchowi powstania, nim pracy swojej nie skończy. Jest to świadectwo matki. Mogłoby być zakwestyonowane, ale w czasie studyów tak ciągle potwierdzało mi się to, co pani Mochmacka napisała, o czem dała, czasem zresztą mglistą, wiadomość, że przywykłem dawać jej wiarę.

Wielką wagę do rzeczy, które czynił, przywiązywał nie tylko wówczas, gdy jeszcze na nich ciepło tchu jego czuć było, ale i później, gdy już oddaliły się w perspektywę czasu, gdy już je można było objąć okiem krytycznym. Z artykułu raz napisanego ciągle będzie cytował ustępy, zwrotem pięknym, szczególnieśliwym, nieustannie się będzie delektował, nie zna tak częstej u innych autorów depresji, po wydrukowaniu dzieła przychodzącej. Miłość i uznanie siebie, jako też wszystkiego co czyni, tkwi w nim głęboko.

Jest w tem wprawdzie świadomość swej duchowej wielkości, jest także umiłowanie surowca, który tylko ręka zdolna ciosać potrafi i obojętność na rzeczy drobne, zwyyczajne, rzeczy dla wszystkich. Dzieckiem jeszcze będąc, uchylał się od zajęć domowych, od doglądania zwożenia snopków, aby marzyć nad Plutarchem lub Homerem i matce wyznawał, że chce pojąć wszystko co jest do pojęcia i do zrozumienia. Tliła się już w nim

żądza sławy i znaczenia, która miała zapłonąć takim ogniem silnym, że stopiła wszystkie inne namiętności, jakich skrzynią jest dusza ludzka, i pozwoliła tylko wyrość nałogowi palenia fajki i picia czarnej kawy. Widzimy go zawsze wśród kłębow dymu fajczanego, przy filizance mokki, o czym każdy, kto go znał, wspomina, zaciętrzewionego w dyskusyi, zatopionego w książkach, lub marzeniach. Brzydki, dziobaty, choć o rysach orlim uderzających wyrazem, działać musiał na kobiety swą indywidualnością, ale żadnej kobiety przy nim nie widzimy. Może jakiś flirt w Metz, który się skończył z wyjazdem do Paryża, jakaś zwyczajna w Paryżu przygoda, nic — coby serce trąciło. Sam pisał, że przyczyną tego inne silne namiętności, które nim władają.

Wieczny ogień, co w nim płonął, wyginał się w stronę wielkich pożarów i burz, szumiących na świecie i Mochnacki rzucał się w wir niebezpieczeństw, musiał być tam gdzie działy się rzeczy wielkie i ważne, pomimo że od udziału w nich wstrzymywany był przez słabą, nerwową organizację. Że w ostatnich czasach od sprzysiężenia Wysockiego się usunął, obawa nie małą rolę grała. Wyznaje, że dźwięczały mu w uszach okowy, że więzienie jak mgła szerzyło się w jego duszy; zapachu prochu nie lubił, do

czego się nawet z humorem przyznawał, kiedy jednak huknęły strzały listopadowe, poszedł na ulicę, a gdy wróg wtargnął do kraju, poszedł się bić i bił się mężnie.

Mężny, dzielny, odważny był w tłumie, sam być takim nie umiał.

Trzymając się zasady, że wszystko, co Mochnacki napisał, sprawdzić należy, musiałem stwierdzić, (uczynił to zresztą przedemną prof. Askenazy) że powody napisania memoriału o publicznem wychowaniu w Polsce, w liście do Hubego podane, nie są prawdziwe; że również nie można wytłumaczyć Mochnackiego, ulżyć jego winie, przywołując na pamięć katusze w więzieniach rosyjskich zadawane, bo nic podobnego go nie spotkało.

Tak, ale męka była w nim. Nie mógł znieść osamotnienia, nie umiał oprzeć się widziadłom, chimerom, nie umiał się ostać wobec przebiegłości, konsekwencyi swoich sędziów. Był słaby i upadł. Nie było nikogo przy nim i nie było nikogo po za nim. W okresach długich przygotowań rewolucyjnych, kiedy członkowie wielkich party przechodzą przez więzienia, mają za sobą organizację, dającą im siłę moralną, mającą na nich zwrócone oczy, czują się członkami żyjących i działających po za murami stronnictw, osamotnienie jest raczej materyalne, niż moralne. Tu było jedno i drugie.

A i ta rodzina, w której wychował się i wzrósł. Spotykały mnie zarzuty, nie w piśmie, ale w rozmowach osobistych, że ojca Mochnackiego, pana Bazylego, z wyraźnem uprzedzeniem narysowałem. Prawda, faktów przeciw niemu nie miałem, ale jakaś nieufność i antypatya rodziła się we mnie, gdym myślał o tej postaci kościuszkowskiego powstańca, potem asesora w prokuratury królewskiej, oddającego syna do cenzury, później lojalisty wobec rewolucyi, jak był przededniem lojalistą wobec rządu. Coś na wzór owego urzędnika Maupassanta, który, przystosowując się do różnych przemian rządu, przez jakie podczas jego karyery przechodziła Francya, z chwilą ogłoszenia prezydenta, ks. Bonaparte, Napoleonem III, cesarzem francuzów, przyszedł do biura z napoleońską hiszpanką i skręconymi w drut wąsami.

Przed paru dniami dostałem do ręki listy Szaniawskiego do żony, ogłoszone częściowo w listopadowym zeszycie Bibl. Warszawskiej przez p. Smolarskiego. Pani Mochnacka napisała o Szaniawskim jako o przyjacielu, czy tak w samej rzeczy było trudno wnosić z jej kilku słów; — wyraz »przyjaciel« mógł być wzięty z rozpowszechnionej jeszcze francuszczyzny i znajomego oznaczać, — ale listy Szaniawskiego, gdzie o kochanym Bazylim i o drogich Bazylostwu mowa, w związku

z notatką pani Mochnackiej, odsłaniają ten stosunek, wskazują, jakie towarzystwo zbierało się w domu rodziców Maurycego.

Dzięki temu, uratowali się przed zemstą rewolucjonistów główny cenzor i komisarz cesarski. Maurycy bowiem, pomny na związki domowe, uprzedził Szaniawskiego o wybuchnąć mającej rewolucyi, ten zaś oczywiście ostrzegł Nowosilcowa. Tak uciekł jeden i drugi.

Nie utworzyła, nie skryształizowała się jeszcze etyka więzienna. Panowało przekonanie, że w tych murach, aby tylko się z nich uwolnić, wiele czynić wolno, czego nie godzi się czynić gdzieindziej. Przecież każdy, kto się dzisiaj spotyka z protokołami śledczymi, spisanyymi z ludzi szanowanych i zacnych, spisanyymi z owego i dawniejszego czasu, kto się z pamiętnikarskimi opisami nawet tych rzeczy spotyka, łamie ręce z zwątpieniem i zapytuje się, czy hart, bohaterstwo, godność, nie są cnoty zmyślane, a przez łatwowiernych za prawdziwe przyjęte.

A że nie są — więc przyczyn upadku należy szukać nie tylko w człowieku, ale i po za nim. Mojem zdaniem tkwią one w słabości ówczesnych stronnictw tajnych, właściwie stronnictwami nawet nazwać ich nie można, i w innych normach moralnych, które spółcześni dla życia więziennego, niż

dla wolnego stawiali. W ten sposób jedynie możemy zrozumieć zeznania Łukasieńskiego, a także i powstańców kościuszkowskich.

Pobyt w cenzurze jest to okres, kiedy Mochnacki nie może się jeszcze podnieść z więziennego upadku, jest to dalszy ciąg ustępstw, czynionych komitetowi śledczemu. Przebiegły list do Szaniawskiego, nieliczne referaty cenzorskie dają miarę zawikłań tej życiowej sytuacji, pociągającej za sobą wstyd, rozdrażnienie, zmuszającej do dwulicowości, co wreszcie koniec wzięło z chwilą otrzymania dymisji.

Skoro przystępujemy do kontroli Mochnackiego świadectw, skoro usuwamy na stronę autoportret i zaczynamy mu przyglądać się sami, wówczas gaśnie, maleje, niknie, w biografii rodzi się łatwo zrozumiała niechęć i przygnębienie, mniej jednak ostre i silne o tyle, że pod lancetem analizy kona nie postać, nad którą umiłowanie powszechne zapaliło aureolę, ale człowiek, który sam to uczynił. Pracę taką przedsięwziąć i wykonać trzeba poprostu z obowiązku naukowego, dla oceny źródłowej wartości dzieł Mochnackiego, dla zdania sobie sprawy z jego znaczenia i wpływu podczas powstania i emigracji. Studya odpowiadają, że jego własny rysunek nie potwierdza się, że jego znaczenie w powstaniu było znacznie mniejsze, wcale nie

większe od wielu innych rewolucjonistów, którzy jednak tak pysznie do historii nie weszli.

Wybuch listopadowy dał Mochnackiemu możliwość po raz pierwszy wziąć bezpośredni udział w silnie wrócić życiu, odznaczyć się na zupełnie innem polu niż dotychczas. Pierwszą rzeczą, której zapragnął, była władza. Nie dostał jej, przez cały przeto czas trwania rewolucyi o nią zabiegał czyni, czyni je bezskutecznie; on, który chciał stać na czele wypadków, zostaje zepchnięty do redaktorskiego stolika. Skoro zakresowi swego działania tylko publicystyczną zdołał zdobyć formę, a zakres działania rysował sobie szeroko, powinniśmy szukać w artykułach jego myśli oryginalnych, programów tęgich, wskazówek rzeczywistych o realne warunki opartych. Tego nie znajdujemy. Ogólny charakter pism Mochnackiego z czasów powstania, w prasie warszawskiej ogłaszanych, określam jako charakter odezw. Są to pobudki dla ulicy. Wystawia hasła, z natury swej proste, jasne, przystępne dla wszystkich, tem łatwiej przyjmowane, o ile położenie powstania było gorsze i skłonność do opozycji większa, nie-raz przytem są one poprostu z ust ulicy wyjęte. Jeśli przyjmiemy, że Mochnacki chciał, aby jego żądania wcielane były natychmiast w życie i od nich oczekiwał ratunku sprawy,

należy zapytać, czemu nie obmyślił w szczegółach struktury planu politycznego, obronnej na wszystkie zająć mogące »przeciw«; czemu nie przewidział ważniejszych ewentualności, będących skutkiem przedsięwziętych planów, nie wskazał jak najpraktyczniej wykonane być mają. Odpowie ktoś, że na to są komisye sejmowe. Ale jakimże to komisjom sejmowym miał ufać, w których ze to członkach sejmu widział tyle zdolności i rozumu, że jego myśli nie zepsują, ale ją zrozumieją i należycie rozwiną, jeśli sejm cały w czambuł potępił, a siebie miał za najpierwszą głowę w powstaniu? Artykuły Mochnackiego z rewolucyi, rozpatrywane w stosunku do sytuacji, nie dają realnych wskazań, nie mają istotnej wartości politycznej, gdy jednak zmienimy kąt widzenia, znajdziemy w nich niepospolite zalety. Dziś jeszcze czytając je, czujemy tętno Warszawy z 1831 r., a Mochnacki przedstawia się nam w nich jako wyraziciel powszechnych obaw, trwóg, nadziei, rozpacz i radości. Nie był jak Skarga prorokiem, choć prorokiem się mienił, ale był człowiekiem wielkiej wrażliwości, przenikającym, łatwiej od innych, ludzi i ich nastroje, był artystą, mającym w mózgu obraz rozmachu, impetu, bezwzględności, jakimi się winna odznaczać, idąca do zwycięstwa, rewolucya, a gdy rzeczywistość temu

obrazowi nie odpowiadała drżał i, choć tylko instynktem artystycznym wiedziony, drżał słusznie.

Po upadku powstania należałoby oczekiwać, że Mochnackiego ogarnie rozpacz, że podda się zniechęceniu. Od rozpacz i przygnębienia broniła go jednak żądza czynu i waga do czynu swego przykładana. Z takim samym zapalem z jakim pisał kiedyś dzieło o Literaturze polskiej, siada teraz do opisu wypadków rewolucyjnych. I jak rozprawy o literaturze nie skończył, jak pracę krytyka na zawsze porzucił, tak i teraz historię powstania, dla politycznej działalności w Auxerre, pisać zaprzestał. To jest dla niego charakterystyczne. Nie umiał nie brać udziału w wypadkach, które koło niego się toczyły. Znał siebie, gdy uciekał z rękopisem do Metz, ale gdy wracał do Paryża, pomimo odmawiań się gorących, do emigracyjnego życia politycznego wchodził, aż wreszcie wszedł w nie zupełnie.

Aby w powstaniu na czele wypadków stanąć przez błyskawiczne w nich oryentowanie się i zniewalanie wszystkich, istniejących i powstających sił dla swoich celów, trzeba było być mężem stanu z talentu i doświadczenia, albo geniuszem politycznym, u którego intuicyja zastępuje edukację, jaką mają sterani wiekiem kierownicy zagranicz-

nej i wewnętrznej polityki; w emigracji jednak zdolności przyrodzone, ogólna inteligencya wystarczały, aby na czoło się wysunąć, a że u Mochnackiego były one w stopniu bardzo wysokim, więc niebawem zdobył znaczenie, więc o pozyskanie go zaczęli się ubiegać przyjaciele Czartoryskiego, więc stał się siłą pierwszorzędną.

Emigracya potrzebowała wskazań, któreby kierunek jej nadały i organizacyi, któraby w kierunku obranym iść pozwoliła, a Mochnacki miał myśl soczystą, jak dojrzały owoc winogrodu i techniczną zdolność tworzenia dla idei form konkretnych. Siła psychiczna z zdolności tej płynąca była tak wielka, że go rozsadzała, że musiał tworzyć organizacje, poruszać je i działać. Czynił to sprawnie, nieraz po mistrzowsku, zaczepiał o wszystkie słabości przeciwników, polemizował z nimi piorunująco, ośmieszał, tych zaś, którym kierunek chciał powierzyć, umiał wynieść dyskretnie, reklamować tak, że nikt reklamy nie dostrzegł i pozyskiwać im stronników. Przykładem najlepszym Czartoryski i Lelewel, dawny przeciwnik i dawny sprzymierzeniec.

Pyszna sylweta Lelewela w »Powstaniu Narodu Polskiego« zabić mogła każdego męża stanu, a w tejże książce narysowany książę Adam działał urokiem osobistym, podbijał

serca trawiącym go smutkiem i wielką, dobrą wiarą.

Analizując działania Mochnackiego, możemy w nim widzieć artystę, publicystę, polityka, ale określenia te, pojedynczo wzięte, rzeczywistości zupełnie nie odpowiadają, są tylko uogólnieniami tych jego właściwości, które w danych warunkach najsilniej wystąpiły, bo Mochnacki jest zawsze cały, zawsze się cała jego przejawia natura. W niej zaś leży siła i urok, jaki z dzieł jego wieje i jaki z niego samego wiać musiał na niektórych. Nie na wszystkich. Mochnacki miał nieprzyjaciół dużo, ludzie praktyczni, poezyi pozbawieni, nosili przed nim puklerz na piersiach, ludzie pospolici zniecierpliwieni byli porywami fantazyi, zmęczeni gwałtownością temperamentu, obrażeni nieraz słowem szorstkiem i szyderczem. Ale Goszczyński dochował mu przyjaźni, Mickiewicz od niego nie stronił, jest jakaś melancholia, choć piołunem zaprawna w tych słowach Słowackiego: »Wierzę w republik jedynaka syna — Mochnacki nim był u nas, ten kostera, co wielkich marzeń nie przestając snować, przez dyktatora dał się ukrzyżować. Wierzę, że powstał w człowieczej postaci i szedł na wielki sąd, co kraj rozwidni; po drodze wstąpił do arystokracji i w tem bez ognia piekle bawił trzy dni«.

Mochnacki należy do tych ludzi, którzy

w analizie wypadają gorzej, pojęci zaś syntetycznie czarują i zniewalają, a niewątpliwie o całe niebo stoją wyżej od typu sobie przeciwnego. Całym sobą, wszystkimi właściwościami swej natury, tem co można określić i tem co nazwać się nie da, działa na nas, gdy jego książkę o Powstaniu czytamy. Mniejsza o to w tej chwili, że relacya nie odpowiada ściśle rzeczywistości. Pióro Mochneckiego miało tę właściwość, że nie wywoływało cieniów życia zamglonych, ale było twórcze: wbrew temu co było, stwarzało nowe światy i nowych ludzi, mających narzucaną sobie słowem lakonicznem, a dziwnie giętkiem, taką realność żywą, że zwyciężała samo życie, że społecznie, zdarzeń świadkowie zapominali o tem, co widziały ich oczy. Niczem innem jak słowem, rzucił cień swej postaci na całokształt złożonych wypadków listopadowych, cień tak wyrazisty, że zaćmił społecznym wiele rysów, zdarzeń, postaci, że historyografowie tego okresu powtarzają jego uwagi, fakty oświeclają tak, jak on je oświecił.

Nie mógł większej rzeczy uczynić, nie mógł bardziej dusz podnieść, jak opowiadając Emigracyi walki, po których jeszcze krwią kurzyły jej rany, i to w ten sposób jak je opowiedział. Otoczyli poetę wieńcem ludzie pokonani, ludzie, którzy jak żydzi na wieczną

po wszystkich krajach iść musieli włóczęgę, którzy broń i sztandary złożyli w ręce nieprzyjaciół, kraj na pastwę wydali, sami unosząc głowy i wolność, otoczyli go zrozpaczeni, shańbieni we własnem sumieniu, a on mówiąc prawdy surowe, ani jednego nie oszczędzając bólu, wlał im napowrót dumę, pychę nawet w piersi, skrzydła odlatującej nadziei schwycił potężnemi rękoma i zaklął, aby wiecznie pośród tych rycerzy została.

To też nie dziwota, że książka o Powstaniu Narodu Polskiego stała się ewangelią całej emigracyi, że wyrywali ją sobie z rąk wszyscy, że doktrynerzy z Towarzystwa Demokratycznego, gdy chcieli ją korygować i z nią polemizować byli tylko nudni i niemrawi.

Skoro ją napisał, mógł już, mimo argumentów, jakie jego przeciwnicy w przeszłości znajdowali, kusić się o to, aby na czele Emigracyi, jeśli nie formalnie, to moralnie stanąć i drogi jej wskazywać. Dwa najważniejsze wskazania były, które uczynił. Jedno natury polityczno-taktycznej, aby Emigracya z konspiracją wszelką zerwała, a otwarcie wyznała co czynić zamierza, do czego się gotuje, drugie natury zasadniczej, aby plany budowała na sile polskiego narodu, a nie na nadziejach na obcą pomoc, czy to rządów, czy ludów.

»Niczyjej pomocy nie odrzucamy, ale w niczyją pomoc nie wierzymy«.

Przez to jedno silne jak maczugi uderzenie, przez to jedno lapidarne zdanie, wchodzi Mochnacki do historyi polskiej myśli politycznej, bo ją obmył źródlaną wodą z gorączki złudzeń i łatwowierności, bo ją skierował na właściwe tory, z których jej nigdy bezkarnie schodzić nie było wolno.

Na obydwóch zasadach chciał zbudować nowe insurrekcyjno-monarchiczne stronnictwo. Jakby je zbudował i dokądby je zaprowadził?

Sceptycyzm nas ogarnia, gdy od generała Dembińskiego się dowiadujemy, że Mochnacki, o planach swoich mówiąc, wywodził, jak wybierze chwilę dla powstania narodu najstosowniejszą, jak przedtem bronić będzie kraju od awanturniczych powstań, nie mających szans powodzenia etc. etc.

Jakimże Napoleonem mniemał się być ten człowiek o genialnem piórze i myśli wspańiałej. Więcej jak talent polityczny przyznawał sobie. Sądzę jednak, że jego nowi przyjaciele mieli w sobie dość chłodu i bezwładności w czynie, żeby w chwili, kiedyby przestał pisać, a zaczął w życiu komponować wielki dramat dziejowy, powstrzymać zapędy jego fantazyi. Co prawda Emigracya wiele trzeźwości najtrzeźwieszym odjęła, ale nie na

tyle, aby do rydwanu poety dali się przykuć ludzie, których głównym walorem była rozważa i rozsądek w rzeczach polityczno-społecznych.

Z ostatniem marzeniem o powstaniu i o królu Czartoryskim na czele powstania położył się Mochnacki do grobu. Stoi ten grób dziś w Auxerre pewnie zaniedbany i opuszczony, choć ozdobiony pomnikiem Oleśzczyńskiego, ale buchnął zeń słup ognia, w którym się kuły szable do krakowskiego i poznańskiego powstania i długo płakała Polska po tym kapryśnym, jednak wiernym synu swoim.

Kraków, 17 listopad 1910.



TEGOŻ AUTORA:

Konarszczyzna (przygotowania powstańcze
w Polsce 1835—1839 r.).

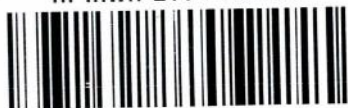
Lud polski (z dziejów polskiej myśli socjali-
stycznej).

Początki polskiego socjalizmu.

Maurycy Mochnacki.

Biblioteka Gł. UPH Siedlce

nr inw.: BR - 10636



br.10636